

Młoda kobieta nie kończy czytać listu. Jak stała, tak wybiegła z domu i jak gdyby straszna wiadomość sił jej dodała, pędem zbiega z piętra na piętro, przeskakując po kilka schodów... Tylko na dole przystanąła jeszcze pod płomieniem gazowym, żeby odczytać adres człowieka, w którego rękach w nieokreślonym niebezpieczeństwie znajduje się jej dziecko, według informacji niepodpisanego autora listu.

Jeszcze chwila, a widzimy ją, pędzącą na oślep przez Chmielną, Marszałkowską i Wspólną. Leci bez tchu, byle dobieść na czas, byle nie zapóźno, mimo, że nie zdaje sobie nawet sprawy, co by za niebezpieczeństwo grozić mogło jej dziecku; kto i po co miałby ją krzywdę czynić niewinnej dziecinie... A jednak bezimienny informator przestrzega ją wyraźnie, nie gołosłownie, nawet adres wszak podaje dokładny.

— Ale od kogo mógłby list pochodzić? Prawda, mógłby to być doktor Anielski. Tylko w tym wypadku dlaczegożby się nie podpisał.

W tej chwili zaczęła ją jakiś mężczyzna na rogu ulicy Wspólnej, gdzie mnóstwo wystrojonych przesadnie dziewcząt przechadzało się tam i z powrotem. Zaczepka była nawet dyskretna i panna Reman innym razem w takim wypadku byłaby jedynie przyspieszyła kroku, żeby obojętnością pozbyć się natręta. Dzisiaj jednak wzburzonej Marylce tak było śpieszno, że nie chcąc czasu tracić, kułakiem odepchnęła brutalnie eleganckiego mężczyznę, który jej coś szeptał i pobiegła dalej w stronę placu Aleksandra.

Za chwilę na rogu Mokotowskiej omal nie wpadła pod kopyta koni u dorożki na gumach, zajeżdżającej z brawurą z trzema oficerami przed „Aleksandrynę“. Krzyknęła tylko, ale się nawet nie obejrzała — szczęśliwa, że nareszcie dobiegła do Alei Ujazdowskich. Tu dopiero zwolniła kroku, bo trzeba było przypatrzeć się numerom domów na oświetlonych latarkach, żeby się zorientować stosownie do podanego w liście adresu.

Teraz dopiero przyszła jej myśl fatalna, że nie dość mieć adres i nazwisko, ale jak się tu dostać po nocy do czyjegós mieszkania. Wtem uwagę jej zwróciły jakieś wrzaski opodal na środku ulicy. Jakaś awantura. Padały głośne wykrzykniki, przesywały powietrze gwizdki stójkowych. Jedna dorożka goniła drugą. Dopadli na koniec uciekającą. Z drugiej dorożki, która tamtą goniła, wyskoczyła jakaś pani i parasolką jęła co sił okładać siedzących w pierwszej uciekinierów: jakiegoś pana w cylindrze i pannę wystrojoną.

O co poszło tym ludziom — nad tem nie zastanawiała się Marylka, co by ją to mogło w tej chwili obchodzić. Dość, że hałaśliwa burda uliczna wśród nocnej ciszy zwabiła na miejsce nie tylko policyantów i stróżów nocnych, ale i odzwiernych z pałaców sąsiednich, którzy nie śpiąc jeszcze, otwierali bramy i z ciekawości wychodzili na środek ulicy dowiedzieć się szczegółów skandalu.

— Szczęśliwym trafem między innymi otworzyły się z tej okazji także drzwi domu, którego adres w liście ścisła jeszcze w ręce Marylki. Skorzystała z tego i w chwili kiedy odzwierny, nie widząc w okół siebie nikogo, poskoczył na środek ulicy, zostawiwszy uchyloną bramę — bez wahania wsunęła się niespostrzeżenie do wnętrza...

Zaledwie znalazła się na schodach, gdy do uszu jej doleciał jakiś krzyk straszny, bolesny, duszę rozdzierający... Marylka porwała się za głowę i krzyknęła:

— Jezus Marya! Moje dziecko!

Wampir.

Kiedy Wanda odczytywała pozostawiony jej przez męża list niezwyklej treści, powóz książęcy wiózł pośpiesznie doktora Anielskiego na miejsce. Jazda trwała zaledwie kilka minut, a Jan przez ten czas zdołał zebrać myśli i zachodził w głowę, jakim sposobem książę Czerski jego właśnie wzywa do chorego dziecka.

— Nieznam go wcale, nie pamiętam nawet, czy go gdzie widziałem kiedy, a wiem o nim tylko tyle, co i cała Warszawa, że jest bajecznie bogaty i że wieździe żywot, zdaje się, dziwaczny, w każdym razie tajemniczy... Czy mnie kto polecił? ale i to nieprawdopodobne. Z listu sądzić można, iż idzie tu o jakąś nader poważną chorobę. Tacy ludzie, jak książę Mirosław Czerski, wzywają w podobnych wypadkach pierwszorzędną powagę, zwołują konsylium profesorów, sprowadzają telegraficznie z zagranicy jakąś powagę europejską, gdy idzie o ratowanie zagrożonego życia, a nie posyłają po obcego im, a wogóle głośniejszego nieznanego doktora, z pośród młodszych, początkujących, którzy, jak ja, wyrabiają sobie dopiero praktykę. Szczę-

gólna rzecz doprawdy, jakim cudem padł ten wybór na mnie właśnie... Kto też mógł księciu wskazać mnie w tak poważnym przypadku...

Powóz się zatrzymał, stanąwszy u celu.

Lokaj w czarnej liberyi w mig z kozła zeskończył, żeby drzwiczki otworzyć. Jan wysiadł i nie rozglądając się nawet, wszedł do pałacu.

Znajdował się w tej samej klatce schodowej, w której niedawno byliśmy świadkami prawie nie-mej sceny tajemniczej, gdy książę odbierał starannie owinięte, małe dziecko z rąk jakiegoś potwora w ludzkim ciele.

I teraz znowu uprzedzony przez służbę wybiegł książę Czerski na schody, żeby powitać snać niecierpliwie oczekiwanego lekarza, którego zaraz wprowadził do swego gabinetu i drzwi zamknął za sobą.

Usiedli obaj, a Jan czuł, że dreszcze przebiegają jego ciało od chwili, gdy gospodarz na wstępie podał mu swą rękę. Dziwnie mała, wązka, drobna była ta ręka delikatna, blada, niemal jak papier biała, ale też jak śnieg zlodowaciały zimna.



— Ten młody panicz z pierwszego piętra zaraz pannie gotów kupić suknie... i pieniądze dałby także, ileby się chciało... Tylko nie trzeba tak się drożyć z cnotką, gdy się raz już dziecko miało.

— Co, ja miałabym się sprzedawać? Jak pani śmie robić mi tak ohydne propozycje!

Nie mógł się Anielski pozbyć uczucia chłodu przejmującego, jakiego doznał za dotknięciem tej pańskiej ręki. Zdawało mu się, że ona go ciągle jeszcze trzyma, ścisła i całego przygniata i ciągnie go w jakąś przepaść, wtłacza go w grób.

Więc ledwie w kręgu lampy usiedli w miękkich fotelikach przy mahoniowym stoliku okrągłym, zaczął się doktor o ile możliwości badawczo przyglądać Mirosławowi Czerskiemu, jak gdyby starał się przeniknąć go na wylot, zajrzeć w głębi duszy człowieka, którego blada ręka tak ziębi lodem.

Nie udało mu się to jednak, a przeszkadzało mu w tem demoniczne spojrzenie błyszczących oczu księcia.

— Dziękuję panu, żeś pan był łaskaw zaraz przybyć, panie doktorze — zaczął z miejsca gospodarz, a gościowi wydało się, iż w tych słowach rzucił mu pytanie: — Czy chcesz mi pomóc, go-dzisz się?

Serce zatłukło się w piersiach Jana, a wzrok z surowej twarzy Czerskiego opadł na stolik, na który książę położył właśnie grubą portfel i powoli otwierając go, zaczął mówić głosem przyci-

szonym, głębokim, sprawiającym wrażenie, że płynie z oddali, jakby z jakiegoś ukrycia:

— Zupełnie przypadkowym sposobem, panie doktorze, znam pańskie stosunki, wiem o przykrych okolicznościach, w jakich się pan teraz znalazł; wiem tedy i o tem, że pewna znaczna suma pieniężna oszczędziłaby panu wielkiej przykrości, wydobylaby pana od razu z kłopotu... Niech się pan nie dziwi, znam właśnie całą historię i mam o tem pojęcie, że uniknąć nieszczęścia może pan tylko z pomocą dużych pieniędzy, o czym pan nawet nie pomyślał, nie mając skąd wziąć tak dużej naraz sumy...

Przy tych słowach Czerski wyjmował z portfela pliki dużych banknotów i przeliczając je w myśli nieznacznie, na stoliku układał z nich sporą kupkę.

— Potrzebną panu sumę podwoilem jeszcze — mówił dalej — oto są, panie doktorze, pieniądze, które do pana należą z chwilą, gdy pan przystajesz na to, czego chcę od pana żądać i o co pana błagam, panie doktorze.

Podsunał plik tęczówek ku Janowi, którego oczy utkwili w stosie pieniędzy, wzrok jego jednak nie rozróżniał ich nawet, a widział tylko jakby jakiś obłok mglisty, unoszący się nad białą ręką marmurową, która szeleściła tymi barwnymi papierkami.

Młody lekarz milczał, a wzrok księcia przyniósł go do fotelu milczącą groźbą i prośbą przeciągniętego spojrzenia. Wtem wydało się Janowi, że zimna, biała ręka marmurowa wyciągnęła się ku jego piersiom i zaczęła mu z nich jakby szponami serce wyrwać, wydierać... Więc wstrząsnął się cały, jakby w dreszczach — co widząc bacznie obserwujący go książę, który był właśnie otworzył swój portfel, na nowo odezwał się szepem:

— Więcej dam panu, jeśli zechcesz, doktorze, ale zaklinam cię, ratuj... błagam.. ratuj mi biedne dziecko!

— Dobrze — padło nareszcie z ust doktora — uczynię wszystko — czego książę zażądaś ode mnie... o ile to będzie w mojej mocy.

— Zaraz panu chorą pokażę — odetchnął Czerski — zobaczysz pan moją córkę, moje dziecko jedyne, mój cały skarb na świecie, wszystko, co mam najdroższego i najukochańszego, jedyną istotę dla której żyję i dla której wszystko gotów jestem uczynić, na wszystko się odważyć, przed niczem się nie zawahać... a bez której, wierz mi pan, nie pojmuję życia i nie chcę życia bez niej.

Gdy się z ust Czerskiego te słowa sypały, Jan do żywego wzruszony, patrzył na księcia z budzącym się nagle współczuciem i poniekąd zdumieniem zarazem, gdyż człowiek ten sprawiał dotychczas na nim tego rodzaju wrażenie, iż młody lekarz ani się spodziewać nie mógł takiego ogromu czystej, świętej miłości, o jakiej świadczył w tej chwili dopiero ton głosu mówiącego.

Mirosław Czerski poszedł do drzwi w głębi, otworzył je, odchylił ciężką portyerę i zawołał cichym, prawie pieszczotliwym głosem:

— Lorciu...

Jan wstał, zrobił parę kroków w stronę księcia po miękkim dywanie i zatrzymał się w postawie oczekującej, gdy Czerski jeszcze bardziej portyerę odsunął i uniósł w górę.

(Ciąg dalszy nastąpi).